

Marcel Proust

Pamięć i intelekt

przełożył Michał Paweł Markowski

Z każdym dniem coraz mniejszą wagę przywiązuję do intelektu. Z każdym dniem widzę coraz wyraźniej, że tylko go ignorując pisarz może uchwycić niegdysiejsze wrażenia, czyli dotrzeć do samego siebie i jedyne go tworzywa sztuki. To, co intelekt podsuwa nam pod nazwą przeszłości, wcale nią nie jest. W rzeczywistości, jak w przypadku dusz zmarłych w popularnych podaniach ludowych, każda godzina naszego życia, gdy tylko odejdzie w przeszłość, wciela się w jakiś materialny przedmiot i tam pozostaje w ukryciu, uwięziona dopóty, dopóki nie spotkamy go na swej drodze. Wówczas, gdy potrafimy ją rozpoznać, możemy ją wywołać i w ten sposób wyzwolić. Równie dobrze moglibyśmy skrywającego ją przedmiotu - lub wrażenia, gdyż każdy przedmiot w stosunku do nas jest wrażeniem - nie spotkać. Dlatego właśnie tak wiele chwil naszego życia nigdy nie zmartwychwstaje, gdyż przedmioty te są tak niewielkie, na tyle zagubione w świecie, że mało jest szans, by znalazły się na naszej drodze! Jest pewien dom na wsi, gdzie wiele razy spędzałem wakacje. Często o nich myślałem, jednak nigdy nie były tym samym. Wszystko wskazywało na to, że na zawsze pozostaną dla mnie martwe. Ich zmartwychwstanie, jak wszystkie zmartwychwstania, było całkiem przypadkowe. Pewnego wieczoru, gdy przemarznięty do szpiku kości wróciłem

do domu i trudno mi było się rozgrzać, gdy tylko zasiadłem w moim pokoju do lektury, stara poczciwa kucharka przyniosła mi filiżankę herbaty, której nigdy nie pijałem. Traf chciał, że miała też kilka grzanek. Umoczyłem grzankę w herbacie i w chwili, w której włożyłem ją do ust i poczułem na podniebieniu jej miękkość przenikniętą smakiem herbaty, spłynął na mnie zapach geranium i drzew pomarańczowych, oblało niezwykle światło i poczułem się szczęśliwy; tkwiłem w bezruchu, lękając się najmniejszym gestem zniweczyć to, co działo się we mnie i czego nie rozumiałem, skupiając całą uwagę na smaku umoczonej grzanki, sprawczyni tego cudu, gdy nagle runęły naruszone przegrody pamięci i moją świadomość nawiedziły wakacje na wsi, o których mówiłem, z wszystkimi porankami, za którymi kryły się nieskończone chwile szczęścia. Wtedy sobie przypomniałem: każdego dnia, gdy skończyłem się ubierać, schodziłem do pokoju dziadka, który już wstał i pił właśnie herbatę. Moczył w niej biszkopt i podsuwał mi go do skosztowania. I gdy te piękne dni odeszły w przeszłość, smak biszkopta umoczonego w herbacie dawał schronienie wszystkim tym umarłym - umarłym dla intelektu - chwilom, których z pewnością bym nie odnalazł, gdyby pewnego zimowego dnia, gdy zmarznięty na kość wróciłem do domu, moja kucharka nie podsunęła mi napoju, w którym na mocy magicznego a nieznanego mi paktu, kryło się ich zmartwychwstanie. Gdy tylko jednak włożyłem biszkopt do ust, cały ogród, którego zapomniane alejki aż do tej pory były dla mnie puste i bezbarwne, zaczął grządką po grządce rozkwitać w małej filiżance herbaty, niby owe japońskie kwiaty, które rozwijają się, gdy tylko zanurzyć je w wodzie.

Podobnie i dni spędzone w Wenecji, których mój intelekt nie potrafił przywołać, były dla mnie martwe do dnia, w którym - rok temu - przechodząc przez podwórzec, zatrzymałem się między błyszczącymi, nierównymi płytami chodnika. Przyjaciele, którzy mi towarzyszyli, myśleli, że się pośliznąłem, ja jednak dałem im znak, by na mnie nie czekali i że ich dogonię: zatrzymało mnie coś ważniejszego, nie wiedziałem jeszcze co, lecz czułem, że w głębi mojej duszy ożywa przeszłość, której nie rozpoznaję; doświadczyłem tego stawiając stopę na nierówności chodnika. Poczułem, że zaczyna przepelniać mnie szczęście i że zostałem wzbogacony odrobiną owej czystej substancji nas samych, jaką jest minione wrażenie czystego życia zachowanego w

nieskazitelnej czystości (i które tylko wówczas możemy poznać, gdyż w chwili, w której je przeżywamy, nie ukazuje się ono naszej pamięci, lecz tylko wrażeniom, będących na jej usługach), które żądało ode mnie uwolnienia i pomnożenia bogactw mojej poezji. Nie czułem się jednak na tyle silny, by je uwolnić. Bałem się, by owa przeszłość mi nie uciekła. Ach, na nic zdawał się w tej sytuacji intelekt. Cofnąłem się o kilka kroków, by znów trafić na błyszczącą i nierówną płytę chodnika i wprawić się w podobny stan. I nagle załała mnie fala światła. Moja noga doznała tego samego wrażenia, którego doświadczyłem na nierównych i błyszczących płytach baptysterium św. Marka. Od tego momentu, gdy tylko potrafiłem rozpoznać to wrażenie, zarówno cień, jaki kładł się wówczas na Kanale, jak i gondola, która mnie tam przywiozła, żyły we mnie niezatartym wspomnieniem szczęścia.

Nie chodzi tylko o to, że w chwilach takiego zmartwychwstania intelekt jest bezradny, lecz także o to, że owe minione chwile szukają schronienia w przedmiotach, które intelekt zwykle omija. Przedmioty, w których staraliście się z pełną świadomością odnaleźć powiązanie z życiem obecnym, nie będą dla nich wystarczająco bezpiecznym miejscem. Co więcej, o ile tylko coś innego potrafi je wskrziesić, to wskrzeszając je wraz z nim, pozbawi je wszelkiej poetyckości.

Pamiętam, jak w trakcie podróży pociągiem próbowałem kiedyś wydobyć wrażenia z widoku roztaczającego się z okien przedziału. Staralem się utrwalić na papierze uciekający wiejski cmentarz, lśniące promienie słońca na drzewach, przydrożne kwiaty przywodzące na myśl *Lilie w dolinie*. Od tego czasu często usiłowałem przywołać ten dzień, przypominając sobie owe drzewa skąpane w słońcu, ów wiejski cmentarz, oczekując nie jego zimnej zjawy, lecz jego samego. Nigdy mi się to nie udawało i już straciłem wszelką nadzieję, gdy pewnego dnia, w trakcie obiadu, upuściłem łyżkę na talerz. Wydała ona dokładnie taki sam dźwięk, co młotek nastawiacza opukującego na stacji koła lokomotywy. W tym samym momencie odżyła we mnie płomienna i olśniewająca chwila wypełniona owym dźwiękiem a wraz z nią poezja całego tego dnia, z wyjątkiem jednak wiejskiego cmentarza, drzew opromienionych słońcem i balzakowskich kwiatów, które zgubiła świadoma obserwacja, zamykając im drogę do poetyckiego zmartwychwstania.

Niestety! Czasem zdarza się, że natrafimy na przedmiot, który budzi w nas wprawdzie uśpione wrażenie, lecz z odległej perspektywy nie potrafimy go ani określić, ani też wskrzesić. Przechodząc kiedyś przez spiżarnię, dostrzegłem kawałek zielonego płótna zasłaniającego wybite okno. Musiałem stanąć i wsłuchać się w siebie. Nadpłynęły promienie letniego słońca. Dlaczego? Próbowałem sobie przypomnieć. Widziałem osy skąpane w słonecznym blasku, dobiegał mnie zapach wiśni na stole, i nic poza tym. Przez jakiś czas zachowywałem się jak ktoś, kto po obudzeniu się w nocy nie wie, gdzie jest, próbując ciałem rozpoznać miejsce, w którym się znalazł, nie wiedząc, w jakim łóżku, w jakim domu i w jakim miejscu na ziemi przyszło mu spać. Przez chwilę się wahałem, szukając wokół zielonego, płóciennego kwadratu miejsca i czasu, w którym mogłaby spocząć z trudem wskrzeszona pamięć. Nie mogłem niczego wybrać spośród pomieszanych, znanych lub zapomnianych wrażeń; w końcu, po krótkiej chwili, przestałem cokolwiek widzieć a moja pamięć na zawsze pogrążyła się we śnie.

Ileż to razy moi przyjaciele widywali mnie w podobnym stanie, gdy w trakcie spaceru zatrzymywałem się u wylotu rozpościerającej się przed nami alei lub przed kępą drzew, prosząc, by zostawili mnie samego na chwilę! Na próżno; nadaremnie zbierałem siły, by odnaleźć przeszłość, zamykałem oczy, by o niczym nie myśleć, a następnie szybko je otwierałem, by spojrzeć na owe drzewa nowymi oczami - wszystko to na nic: nie mogłem odgadnąć, kiedy i gdzie je widziałem. Rozpoznawałem ich kształt i układ, ich zarys zdawał się powtarzać jakiś tajemniczy rysunek wryty w moim drżącym sercu. Nie umiałem jednak o nich niczego powiedzieć, a i one same, w postawie naiwnej i namiętnej, zdawały się wyrażać żal, iż nie potrafią mi wyjawić sekretu, którego, jak trafnie przeczuwały, nie umiałem rozwikłać. Zjawy drogiej przeszłości, tak drogiej, że przyprawiającej me serce o szaleństwo, wyciągały ku mnie bezsilne ramiona niczym cienie, które Eneasz spotkał w Piekło. Czy było to w czasie podmiejskich spacerów, gdy, dzieckiem będąc, czułem się tak szczęśliwy, czy tylko w tych zrodzonych z wyobraźni krajach, gdzie, opodal jeziora, w lesie, w którym całą noc panowała jasność, chorowała moja matka, krajach tylko wyobrażonych, lecz niemal równie rzeczywistych, co kraj mojego dzieciństwa, który zdążył już przeistoczyć się w sen? Nie mam pojęcia. Musiałem więc

dogonić przyjaciół, czekających na mnie na skraju drogi, przerażony, że odwróciłem się na zawsze od przeszłości, której już nigdy nie zobaczę, i od umarłych, na próżno wyciągających ku mnie bezsilne i czule ramiona i szepczących: pozwól nam żyć. I zanim jeszcze zrównałem się z przyjaciółmi, zanim wróciłem do przerwanej rozmowy, kilkakrotnie odwracałem się jeszcze, rzucając coraz mniej intensywne spojrzenia ku znikającej za zakrętem kępie milczących drzew, które wiły się jeszcze w mych oczach, lecz nie miały już nic do powiedzenia mojemu sercu.

W porównaniu z ową przeszłością, intymną cząstką nas samych, prawdy intelektu wydają się mało realne. A jednak, zwłaszcza wtedy, gdy siły nasze są na wyczerpaniu, gdy tylko pragniemy ją odzyskać, zwracamy się ku temu wszystkiemu, co mogłoby nam pomóc, nawet jeśli zostaniemy źle zrozumiani przez inteligentnych ludzi, którzy nie wiedzą, że artysta jest kimś, kto żyje samotnie, kto rzeczom widzianym nie przyznaje absolutnej wartości, kto hierarchię prawdziwych wartości może odnaleźć tylko w sobie samym. Może się bowiem zdarzyć, że mierna opera wystawiona w prowincjonalnym teatrze, bał, który w oczach światowców wydałby się śmieszny, bądź to wywoła w nim wspomnienie, bądź to dopasuje się do świata jego marzeń i trosk w o wiele większym stopniu niż wspaniałe widowisko w Operze lub supereleganckie przyjęcie w Faubourg Saint-Germain. Nazwy stacji kolejowych na rozkładzie jazdy północnej kolei, gdzie w marzeniach wysiadał z wagonu w jesienny wieczór, kiedy to drzewa zgubiły już liście i mocno pachniały w ostrym powietrzu, pretensjonalna książka, pełna nazwisk, których nie słyszał od dzieciństwa, mogą być dla niego czymś znacznie ważniejszym od wszystkich wspaniałych książek filozoficznych i sprawić, że światowcy lub ludzie utalentowani wezmą go za pozbawionego smaku głupca.

Dziwny zapewne wyda się fakt, że przypisując tak mało wagi do intelektu, tematem niniejszych uwag uczyniłem sugestie podpowiedziane właśnie przez intelekt i stojące w sprzeczności z tym, co zwykle słyszymy lub czytamy. W chwili, w której godziny moje są być może policzone (swoją drogą, czy nie wszyscy jesteśmy w takiej sytuacji?), rzeczą niefrasobliwą byłoby tworzenie dzieła opartego na intelekcie. Z drugiej jednak strony, prawdy intelektu, nawet jeśli są mniej cenne od owych tajemnych wrażeń, o których przed chwilą mówiłem, także posiadają pewną wartość. Pisarz jest nie tylko

poetą. Nawet najwięksi z tej epoki w naszym niedoskonałym świecie, gdzie arcydzieła sztuki są jedynie szczątkami wraków wielkich intelektów, nanizali klejnoty swych uczuć na nitkę intelektu, na której tylko czasami mogą one błyszczeć w swej pełni. I jeśli ktoś uważa, że najwięksi pisarze epoki mylą się w tym istotnym punkcie, to przychodzi czas, by otrząsnąć się z gnuśności i jasno to powiedzieć. Metoda Sainte-Beuve'a nie jest być może na pierwszy rzut oka sprawą ważną. Niewykluczone jednak, że w dalszym ciągu okaże się, iż dotyka ona niesłuchanie istotnych problemów intelektualnych, dla artysty być może najważniejszych, a mianowicie dotyczących podrzędności intelektu, o której mówiłem na początku. Owej podrzędności nie możemy wszelako określić, nie odwołując się do samego intelektu. Intelekt może nie zasługiwać na najwyższe uznanie, lecz tylko on jest w stanie to stwierdzić. Może zajmować w hierarchii wartości drugie miejsce, lecz tylko on może oświadczyć., że intuicja powinna zająć miejsce pierwsze.